

Plastiki czyli Dobrobyt w stadium katastrofy

"Zamieniliście kocmołucha na dziwkę?"

- pyta małżonków zaprzyjaźniony artysta

na widok służącej donoszącej

połyskliwą sukienkę pani domu.

Mówi się "od przybytku głowa nie boli", ale mówi się też "to było dawno i nieprawda". Bowiem od dawna już od przybytku boli i to nie tylko głowa, ale cały organizm, całe społeczeństwo, cały glob. A jak to wygląda w tzw. podstawowej komórce społecznej, w rodzinie? W dobrze sytuowanej rodzinie z bogatego kraju? Taką rodzinę spotykamy w sztuce Mariusa von Mayenburga "Plastiki". Członkowie rodziny są mieszkańcami dobrej dzielnicy stolicy dobrobytu, Berlina, są obywatelami krainy dóbr wszelakich, Niemiec, należą do uprzywilejowanej warstwy społecznej w swoim kraju i uprzywilejowanej części globu, Europy, są beneficjentami pławienia się w dostatku. Ale czy na pewno beneficjentami?

<https://www.youtube.com/watch?v=ufV7rtuCgR4>

Czego jeszcze można pragnąć, skoro ma się wszystko i to w przytłaczającym nadmiarze? Chore są społeczeństwa konsumpcyjne, które mają wszystko i chore są te, którym wszystkiego brakuje. To dwie strony tego samego medalu. Te pierwsze, bogate społeczeństwa, duszą się od nadmiaru towarów i toną w odpadach, te drugie, biedne, pozbawione podstawowych warunków do życia, robią wszystko, żeby dostać się do bogatych krajów...

https://www.youtube.com/watch?v=d5itKSM_QJ8

...I dołączyć do konsumpcji nieustająco produkowanych produktów dokładając się zarazem do gór odpadów, które monstrualnymi kontenerowcami odsyłane są - w ramach recyklingu biznesowego - do biednych krajów, gdzie kończą na mniej czy bardziej legalnych wysypiskach śmieci oszpecających ich krajobraz i dokładających się do zatrucia ich środowiska. Istny obłęd. I to nie tylko w kwestii materialnej, nie tylko w coraz szybciej kręcącej się karuzeli "pracuj - - - kupuj - - - wyrzucaj - - - pracuj - - kupuj - - wyrzucaj - - pracuj - kupuj - wyrzucaj - pracujkupujwyrzucaj... "...

<https://www.youtube.com/watch?v=8X9q8XkXupw>

Z karuzeli wszystko co lekkie, wcale lub słabo umocowane odrywa się i odlatuje, wyrzucane hen, daleko, poza wesołe miasteczko, tak działa siła odśrodkowa. Związki międzyludzkie, uczucia, troska o potomstwo, o przyszłość, sens życia, wszystko to jest tak ulotne, że już dawno gdzieś po drodze odpadło i zostaje takie nie wiadomo co, bo

czy to rozumiejąca się małżeńska para? Czy rodzice dziecka? Czy dziecko? Czy satysfakcjonująca praca? Czy artysta? Czy wyrażające cokolwiek i potrzebne komukolwiek dzieła sztuki?

Jedyną autentyczną osobą w tym nowym pięknym świecie materialnego dobrobytu wydaje się być zatrudniana przez *better-class*-familie pomoc domowa, służąca, dziewczyna do wszystkiego, bezszmerowo wykonująca każde polecenie każdego z bohaterów, nawet dziecka, jeszcze jedna bohaterka tej współczesnej tragifarsy, a *de facto* dramatu.

Głowa domu to lekarz-internista, zarabia, w domyśle, nieźle, jak to niemiecki lekarz w niemieckiej służbie zdrowia, ale że coraz bardziej zbiurokratyzowanej i znormalizowanej, więc uciążliwie nudnej, jedyną jego odskocznią jest internet i już lepiej się nie domyślać, jakie strony w internecie. Marzyłaby mu się prawdziwa odmiana, rutynowa praca na pracę-przygodę, wymądrzająca się żona-czterdziestka plus na młodą chętną dziewczynę, wkurzający synalek na partnera do rozmowy, życie bez sensu na życie z sensem.

Żona "realizuje się" na etacie u "znanego artysty", co daje jej podnoszące samopoczucie wrażenie, że sama jest nieomal artystką i, fakt, nosi się jak artystka i ze swojej pozycji artystki rządzi mężem, synem i służącą. Gdyby jednak "znanemu artyście" wpadło do głowy zwolnić swoją asystentkę, okazałoby się, jak jest pusta i jak puste jest jej życie, więc zwolnienia obawia się najbardziej. Pozbawiony wszelkich autorytetów dwunastoletni syn, któremu "nic nie brakuje", wyrasta na młodego człowieka, któremu "nic nie będzie brakowało", oprócz poczucia, że żyje i po co żyje. Już teraz otoczony elektronicznymi gadżetami rozwydrzony gówniarz gorączkowo poszukuje podnieć, które dałyby mu odpowiedniego kopa, tak, żeby poczuł, że żyje. Niezłą podniećką okazuje się kręcąca się po domu służąca.

Mamy jeszcze pracodawcę żony, "modnego artystę-konceptualistę", znanego ze skandalizujących happeningów, może chociaż on widzi w tym co robi jakiś cel i sens? Niestety nie, właśnie pogrążony jest w egzystencjalnym kryzysie, w związku z czym dnie spędza taplając się w wannie, albo płacząc po domu w szlafroku, pijąc i narzekając. Przy czym nie dopuszcza do siebie słowa "kryzys", jako określenia kompletnie zdewaluowanego, i słowa "depresja", jako synonimu słabości, bo przecież jest wielkim artystą o potężnej sile oddziaływania chwilowo tylko wypalonym, naturalna sprawa przy tak wzmożonej aktywności twórczej.

Sztuka konceptualna dobry kierunek, ale co rusz trzeba mieć coraz bardziej niesłychany "projekt", bo rynek chłonny, widz szybko znudzony, a pomysły na wyczerpaniu. Gdyby tak wstrząsnąć opinią publiczną ukrzyżowaniem kurczaka? Ale i to się publiczności przejadło, zaś pomysł na ukrzyżowanie warzywa i wstrząśnięcie weganami nie daje tego uderzeniowego efektu, co widok żywej krwi. Więc znowu, jak w akcie samokrytyki wyznaje, pustka lub natłok gównianych idei, bolesny syndrom burnoutu. Niełatwo jest być następnym po Josephie Beuysie, bo zaskakiwać można tylko raz, nawet jeśli ciągle jeszcze pobrzmiwia echo tamtych burz wzmacniane przeintelektualizowaną pseudoanalizą krytyków sztuki karmiącą snobizm odbiorców sztuki i nakręcającą rynek handlu sztuką.

I tu niespodziewanym ratunkiem okazuje się nowa służąca w domu asystentki, znakomity materiał na obiekt sztuki: znany dowcip o Beuysie mówi, że jego sztuka trwa tylko do chwili nadejścia sprzątaczkę muzeum, już ona uprzątnie dzieła... (jest taka anegdota, że jakaś sprzątaczkę wyczyściła płamę tłuszczu w kącie sali, a było to znane dzieło

Beuysa). Jeśli więc sprzątanie śmieci uczynić dziełem? Sprzątaczkę częścią tego dzieła? Tego jeszcze nie było! "Znanego artystę" koncepcja ta budzi z letargu i popycha do aktu twórczego!

Niemiecki dramaturg wziął pod lupę zamożną niemiecką rodzinę wyższego szczebla klasy średniej, ale to może być każdy kraj konsumpcyjnej Europy i każda dobrze zarabiająca rodzina większych europejskich miast, także Warszawy... nie łudźmy się, że nas, Polaków, to nie dotyczy, nasze aspiracje do bycia Zachodem ziściły się i oto i my staliśmy się częścią kultury zachodniej, nawet jeśli cokolwiek peryferyjną. Niemcy mają swoje służące, nierzadko rekrutujące się z młodych Polek, my mamy "swoje Ukrainki".

Służąca to postać centralna sztuki. A imię ma iście hollywoodzkie, Jessica, każdy z domowników oraz artysta egzystują w odniesieniu do niej. W domu Jessica robi wszystkie te trywialne prace, do których państwo się nie poczuwają, a bez wykonania których nie dałoby się żyć. Sprząta, gotuje, pierze, prasuje, służy także za podmiot w uświadamianiu żegnającego się z dzieciństwem chłopca i przedmiot pożądania ojca (z braku młodych pięknych smukłych kobiet Czarnej Afryki znanych z okładek pism ze świata mody, które "mógłby leczyć", gdyby wybrał się w ramach misji "Lekarze bez Granic" do któregoś z afrykańskich państw, tylko czy - zahukany w pracy i w domu a tak naprawdę rozleniwiony komfortem - miałby dość ikry?).

Dla matki/żony i chciałoby-się-być-artystki Jessica staje się czymś między powiernicą a kimś do pomiatania i pogardzania z głęboko ukrywaną zawiścią o młodość, figurę i sex-appeal. Przy okazji służy też do donaszania markowych ciuchów pani domu, bo w sumie nie wiadomo co z nimi robić? Oddawać na Czerwony Krzyż? W takich kreacjach mieszkanki biednej Afryki mają kilometrami chodzić po wodę? Wyrzucać? Nieprzyzwoicie drogie i raz, dwa razy noszone? Więc służąca nosi je teraz po domu drażniąc syna, ojca i matkę, a każde na swój sposób. I nagle ten niewykorzystany potencjał dostrzega w niej "znany artysta" i wykorzyststa w swojej sztuce, czym z pewnością zażyje bywalców snobistycznych weniędzy w snobistycznych galeriach!

Czy Jessica stanie się od tego zewnątrz i wewnątrz bogatsza? Ona, która pracuje na okrągło a zarabia tylko tyle, żeby ledwie przeżyć? A i pewnie bez umowy o pracę i bez świadczeń socjalnych, ubezpieczeń, przyszłej emerytury? Która nie ma swojego życia osobistego, rodzinnego, żadnego? Która nie ma swojego zdania na żaden temat, bo musi tylko przytakiwać, w przeciwnym razie grozi jej wypadek? Która nawet swoich ubrań nie ma, tylko czyjeś, niepasujące ani do niej, ani do sytuacji? Która w gruncie rzeczy ma tylko tyle, ile dostała w dniu narodzin, nagą siebie? Czy naga Jessica to ktoś czy coś? Osoba z poczuciem własnej tożsamości, wartości, człowiek, czy automat do wykonywania poleceń, obcy obiekt w obcym jej świecie, robot?

Co ciekawe, nazwiska w tym świecie mają jedynie dwie postaci. Znany artysta nazywa się Serge Haulupa (czyżby mieszany potomek matki Włoszki i ojca Niemca z czasów pierwszej fali włoskich gastarbeiterów lat 60. XX wieku w Niemczech? przy okazji "hau!" znaczy "uderz!, dowa!, przywal! przypierdol!"). Służąca Jessica ma na nazwisko Schmitt (coś jak polska Kowalska). Mąż, żona i syn jako pewien ogólnik (rodzina 2+1, on i ona pracujący w dobrze płatnych zawodach) noszą jedynie imiona: Michael, Ulrike i Vincent (ten ostatni jest być może ukłonem w stronę van Gogha, a tym samym przedkonsumpcyjnej wielkiej sztuki).

Nie wiem, czy w polskim tłumaczeniu nie było pytania skierowanego do Jessiki "jesteś z Polski, czy Ukrainy?", czy je przegapiłam, ale znalazłam je w niemieckim wywiadzie z autorem "Plastików" cytującym to zdanie ze swojej sztuki.

Tak, służąca mogłaby się równie dobrze nazywać Dżesika (dajmy-na-to) Kowal i pochodzić ze Wschodu, z Polski, a że zna niemiecki? W dzisiejszych czasach to nic wyjątkowego, na poziomie "dogadania się" znajomość języka pracodawcy jest niezbędna. Na poziomie bardziej skomplikowanych konstrukcji myślowych, trybu warunkowego, przypuszczającego, koniunktywów, Jessica nie rozumie co się do niej mówi, rozumie zdania proste i takimi odpowiada. To jednak wystarczy, żeby akcja rozwijała się wartko.

*

* *

Sztuka Mariusza von Mayenburga ma w Polsce różny odbiór, od entuzjastycznego po niechętny. Mnie podoba się bardzo. Bardzo! Wszechobecne plastiki - pałacy temat, hipokryzja elit - świetnie uchwycona! Ciągłe rodzą się tacy artyści, którzy nie wymyślają "co by tu jeszcze, żeby przebić poprzedni skandal", a reagują na zastaną rzeczywistość z całą mocą autentycznego talentu, jaki los włożył im do kołyski, von Mayenburg najwyraźniej do nich należy. Zachodnia kultura (do której Polska także się zalicza, a przynajmniej aspiruje, że podkreślę), ma ogromny problem, bo niepoahamowany wzrost produkcji artykułów konsumcyjnych, to wzrost pogłębiających się różnic społecznych, wzrost zanieczyszczenia środowiska, wzrost migracji, wzrost nierozwiązywalnych problemów...

Już w roku 1972 Klub Rzymski opublikował szeroko dyskutowany wtedy raport "Granice Wzrostu" ("Limits to Growth"), co pamiętam i pamiętają zapewne ludzie w moim wieku jakkolwiek zainteresowani światem, w którym przyszło im żyć: za 100 lat ma nadejść załamanie gospodarki nastawionej na wzrost, za 40 lat miały być już widoczne gołym okiem symptomy katastrofy - demograficznej, ekonomicznej, ekologicznej. Żyjemy właśnie w tej katastrofie. W roku 1976, świeżo po raporcie Klubu Rzymskiego, pojawił się esej "To Have or to Be" Ericha Fromma, najpierw w amerykańskiej serii "World Perspectives", a potem w formie książkowej tłumaczony na wszystkie ważniejsze języki świata i czytany przez wszystkich zainteresowanych losem Ziemi i swoim własnym czytelników. Ja miałam to szczęście, że, żyjąc w Szwajcarii (gdzie żył i Fromm), czytałam go w oryginale, po niemiecku tytuł brzmi "Haben oder Sein".

Jest to radykalna krytyka systemu kapitalistycznego, pesymistyczna wizja przyszłości i analiza społeczeństwa "notorycznych nieszczęśliwców", o ile nastawieni są na "mieć", a nie na "być" i o ile swojego nastawienia nie zmieniają. Fromm postulował zmianę życia zorientowanego na posiadanie na autentyczne przeżywanie, bycie. Jeśli chodzi o mnie, trafiło na przekonanego, należę bowiem do tych szczęśliwców, dla których "być" było i jest o wiele ważniejsze, niż "mieć", z natury swojej jestem zupełnie niekonsumpcyjna, nie chce mi się pracować na rzeczy, kupować rzeczy, gromadzić rzeczy, dbać o rzeczy, bać się o rzeczy i wyrzucać rzeczy. Nie oceniam też ludzi po tym, co posiadają, ale po tym, jacy są.

Fromm postuluje życie w duchu "być" w kilku punktach. Bycie to:

- Wytwarzanie dóbr służące prawdziwym potrzebom człowieka, a nie samym wymaganiom gospodarki.
- Eksploatacja natury zastąpiona wymianą między człowiekiem a naturą, a nie wyzyskiem natury.
- Międzyludzkie antagonizmy zastąpione międzyludzką solidarnością i sprawiedliwością.

- Dobrobyt człowieka i unikanie nieszczęścia celami świadomości społecznej.
- Konsumpcja służąca dobru człowieka i natury, a nie człowiek i natura dobru konsumpcji.
- Każdy człowiek zmotywowany do aktywnego udziału w życiu społecznym poprzez kształtowanie umiejętności porozumiewania się i współpracy.

Książka "Mieć czy być" do Polski dotarła, co znamienne, w roku 1989, jej autor nie żył już od 9 lat, nie widział, jakie zmiany dokonały się w świecie w latach 80., czym się zakończyły i co prognozowały. Jego przepowiednie i obawy zaczęły się sprawdzać w skali globalnej, a ostrzeżenia i postulaty nie przełożyły się na powszechną zmianę zachowań. W sumie głos Fromma i jemu podobnych myślicieli był jak wołanie Kasandry, skończyło się na tym, że mieli rację zupełnie jak Kasandra, Troja miała paść i padła, katastrofa miała nadejść i nadeszła.

Ludźmi z krajów wysoko uprzemysłowionych nadal kierowały egoizm, chciwość i bezwzględność, społeczeństwa złażnione towarów (w tym Polska) dołączały w wyniku przemian polityczno-gospodarczych do społeczeństw konsumpcyjnych głównie w charakterze rynków zbytu, przemysł przeniósł się do krajów o taniej sile roboczej, w procesie globalizacji zarządzanie finansami, produkcją i dystrybucją rozczłonkowało się w międzynarodowe hydro-korporacje, uprzemysłowienie produkcji rolnej odebrało mieszkańcom wsi ich rację bytu, nastąpił masowy odpływ ludzi do miast, masowe migracje w ucieczce przed nowymi wojnami i nędzą z biedniejszych krajów do bogatszych i kompletne przetasowanie warstw społecznych. Na to wszystko nałożyła się rewolucja informatyczna. I tak nastąpiło teraz.

Tytuł sztuki von Mayenbarga w oryginale brzmi "Stück Plastik", nie wiem, dlaczego Karolina Bikont, tłumaczka na polski, zrobiła z tego "Plastiki", a nie po prostu "Plastik" (po angielsku sztuka nazywa się "Plastic", po francusku "Pièce en plastique"), dlatego zatrzymam się na moment nad tym translatorskim zagadnieniem. "Ein Stück Plastik" znaczy dosłownie "kawałek plastiku", ale już "Stück Plastik", bez rodzajnika, ma znaczenie, jak ja to rozumiem, metaforyczne, to coś bezwartościowego, bezsensownego, szkodliwego, sztucznego, nienaturalnego, martwego. Podobnie jest z wyrażeniem "ein Stück Scheisse", co dosłownie znaczy "kawałek gówna", ale już "Stück Scheisse" to metafora, bardzo mocne, pogardliwe określenie kogoś lub czegoś w rodzaju "ty kupo gówna", "ty gnoju", "to chłam". W tym sensie "Stück Plastik" jako tytuł znaczyłoby "Sztuczne życie", "Plastikowy dobrostan", "Plastikowa plaga", "Sztuczność" lub coś w tym rodzaju (np. *per analogiam* do książki/sztuki "Lubiewo", "Plastikowo").

Przyjrzyjmy się małżeństwu Ulriki i Michaela w tym kontekście: wykształceni Niemcy w Niemczech, ustosunkowani, umocowani w warstwie społecznej sobie podobnych, na dobrych pewnych posadach - przynajmniej lekarz może być pewny swego zatrudnienia i z lekarskiej pensji utrzymać trzyosobową rodzinę - nawet łącznie ze służącą, bo przecież, jak wiemy ze sztuki, płaci jej grosze - to wyższa półka klasy średniej, ponad nimi jest elita finansowo-korporacyjna, oraz bardzo znani doskonale zarabiający artyści, modni celebryci typu Serge Haulupa. To ludzie ze wszech miar spokojni o swój status i stan posiadania.

Ponadto należą do tych świadomych obywateli i konsumentów, którzy karmią się produktami bio, segregują śmieci (albo robi to za nich odpowiednio poinstruowana pomoc domowa), korzystają z dobrodziejstw kultury, jeżdżą na ekskluzywne wakacje, ubierają się w eleganckich magazynach, mąż korzysta z masażu, żona ma już za sobą odmładzającą operację lub operacje plastyczne, na tyle dyskretne, że nieszcpecące, ale na tyle widoczne, że dla wprawnego oka dowodzą kosztownego zadbania. Jeśli chodzi o ubrania, buty, torby, torebki, to stawiają na jakość,

a nie ostentację, skromny biały podkoszulek za 300/400 euro z najdelikatniejszej bawełny, prosty kaszmirowy płaszcz za 4,5 tysiąca euro, buty za 1200, marka tak, ale broń Boże na wierzchu. Gdy po kilku użyciach oddaje prawie nowe ubranie do worków dla potrzebujących, w trosce o dobre imię marki odpruwa metkę.

Jeśli chodzi o poglądy, ludzie ci określają się jako lewicowo-liberalni. Lewicowo-postępowi, liberalno-nowocześni, świadomi dbania o środowisko i świadomi potrzeb biedniejszej części świata. Szlachetne połączenie. Niestety, jest to szlachetność deklaratoryjna, naskórkowa. Bo tu zaczyna się ich prawdziwy problem i przyczyna ich poczucia bezsensu, rozdźwięk między tym, jakie mają o sobie mniemanie, a jak to wygląda w praktyce, jak zakłamane, sztuczne jest ich życie. O tym jest ta sztuka. O sztuczności.

Jest to inny rodzaj zakłamania, niż to jest w przypadku naszych "pocziwych" polskich Dulskich sprzed stu lat, przywoływanych w recenzjach "Plastików". Podobieństwo jest powierzchowne, kończy się na tym, że tam małżeństwo z dziećmi i tu małżeństwo z dzieckiem - oraz służąca. Dulscy to kołtuneria drobnomieszczańskiego Krakowa, państwo Niemiec to kulturalna societa współczesnego Berlina. Dziś mieszczaństwo jako klasa nie istnieje, lub istnieje szczątkowo, w czasach, gdy do miast przeniosło się 55% populacji w skali światowej, dawne mieszczaństwo epoki industrialnej przeinaczyło się i rozpadło na wiele klas, warstw i szczebli. Mamy tu starą "zasiedziałą" i młodą "napływową" elitę kulturalną, młodą elitę zawodów nowoczesnych technologii, niespecjalnie zajmującą się kulturą, oraz pracowników usług wszelakich niezbyt posażnych, za to zainteresowanych udziałem w życiu kulturalnym.

Dawny miejski proletariatuskurczył się (fabryki i zakłady produkcyjne wyemigrowały do dalekich krajów, robotnicy to mieszkańcy tych krajów), przekwalifikował lub dołączył do dzisiejszego prekariatus "zagrożonego proletariatus" (precarious proletariat), ludzi niepewnych zatrudnienia, zatrudnionych na umowach śmieciowych (lub na czarno, to pewnie tu należy wliczyć Jessikę), chwilowo bezrobotnych lub permanentnie bezrobotnych na zasiłkach oraz dużej części migrantów słabo wintegrowanych w system (zależnie od kraju i miasta, w Berlinie jest ich dużo, ale np. Turcy już w kolejnych pokoleniach w dużym stopniu włączyli się w życie miasta i czują się u siebie).

Tacy ludzie jak Ulrike i Michael - mimo zaliczania się do światłej elity, lewicowo-liberalnej - są w gruncie rzeczy stabilizatorami systemu pogłębiających się podziałów społecznych turbokapitalizmu i wywindowanej do poziomu sztuki sztuki sztucznej dla bogatych ignorantów. Oburzają się mniej czy bardziej otwarcie na redystrybucję dochodów narodowych, na pensje dla wszystkich niezależnie od zatrudnienia, na rozliczanie banków itd. itp. Zapewne nie rozumieliby ruchu "żółtych kamizelek", ludzi pracujących dużo za małe pieniądze, całe życie ledwie spłacających kredyty mieszkaniowe, samozatrudniających się i pracujących głównie na oplaty, zatrudnianych od przypadku do przypadku, młodych wykształconych bez koneksji, migrantów bez perspektyw itd. itp.

To oni wykorzystują do granic możliwości i na różne sposoby młodą zależną od nich dziewczynę, to oni konsumują bez opamiętania produkując góry odpadów wywożonych do biedniejszych krajów, to oni nie mają czasu i nerwów na wychowywanie dzieci, to oni snobują się na sztukę, która nie jest sztuką... I to ich wziął na widelec artysta-dramaturg, tę paradygmatyczną parę, komórkę społeczną epoki finansowo-informatycznej. I artystę na usługach mamony. Bo mając talent można stawiać na talent i dopracować się "fame and fortune", ale stawiając na sławę i fortunę zaprzepaszcza się talent.

Na sztukę tę wybrałam się z powodu pewnych paraleli z życiem Stanisława Wyspiańskiego, którym się ostatnimi miesiącami bliżej zajmowałam. Wyspiański nie mało się nacierpiął z powodu braku pieniędzy. Ale ostatecznie

jeszcze za życia stał się sławny i względnie majątny. Ożenił się, jak poszechnie wiadomo, ze służącą Teosią, czego "Kraków" nie mógł mu do tego stopnia wybaczyć, że echa tego oburzenia pobrzmiwają do dziś. Tymczasem Wyspiański do końca konsekwentnie tworzył swoją sztukę z pieniędzmi i bez - dziś trudno sobie wyobrazić kulturę polską bez dzieł plastycznych i dramaturgicznych autora "Wesela" - i z żelazną konsekwencją wbrew wszystkim i wszystkiemu poślubił w końcu kobietę, którą sobie wybrał na swoją partnerkę i matkę swoich dzieci i która najwyraźniej odwzajemniała jego uczucia. Dzięki niej powstało niejedno genialne dzieło. Mimo to do dziś uważa się, że "przecież nie mógł pokochać 'brzydkiej' służącej". A jednak mógł, tak samo, jak mógł malować polne kwiaty i chwasty uważane za niegodne uwagi artysty. W tym jego geniusz.

W niedawno opublikowanej książce faktu "Służące do wszystkiego" Joanna Kuciel-Frydryszak opisuje los służących w polskich domach przełomu XIX i XX wieku, a przeczytałam ją w kontekście Wyspiańskiego i jego żony. Były to kobiety z najniższej warstwy społecznej, właściwie niewolnice, bez nazwisk, a często i bez imion, dla ułatwienia nazywano je "Kasie, Marysie" bez względu na to, jakie imiona naprawdę nosiły. Imiona te długo uchodziły za "wiejskie", "niemodne". Żeby się jakoś od nich odciąć, zaczęto dziewczynkom z tzw. niższych sfer nadawać imiona wyszukane, pretensjonalne. I tak zaczęły się wysyp Andżelik, Klaudii, Dżesik... a po pewnym czasie w reakcji na tę modę tzw. "warstwy wyższe" zaczęły wracać do pięknych skromnych imion Marii, Katarzyn, Zuzann, Zofii...

Jessica ze sztuki "Plastiki" mogłaby być Polką Dżesiką - choć jakiej jest nacji, ostatecznie nie dowiadujemy się.

<https://www.youtube.com/watch?v=l65gjTs3An4>

"Plastiki" ("Stück Plastik") Mariusa von Mayenburga

Reżyseria: Grzegorz Wiśniewski

Przekład: Karolina Bikont

Scenografia: Mirek Kaczmarek

Dramaturgia: Jakub Roszkowski

Muzyka: Adam Milwiw-Baron

Obsada:

Ulrike: Dominika Bednarczyk

Michael: Grzegorz Łukawski

Vincent: Krzysztof Piątkowski

Serge Haulupa: Jerzy Świątłoń

Jessica Schmitt: Marta Waldera

Teatr im. Juliusza Słowackiego - Duża Scena, premiera: 8.12.2016, spektakl powstał w koprodukcji z Teatrem Łaźnia Nowa

Galeria zdjęć, fot. Krzysztof Bieliński

*

* *

O ile aktorstwo było bardzo dobre, o tyle miałabym zastrzeżenia co do kostiumu Ulriki, to nie miał być krzykliwy, jaskrawy styl, tak się ludzie tej warstwy nie ubierają, raczej preferują wręcz *understatement*, wprawdzie drogi, ale mało ostentacyjny, z drugiej strony taki dyskretnie szlachetny styl mógłby być mało czytelny dla polskiego odbiorcy przekładającego dobrobyt na nowobogactwo. Dla porównania niemiecka inscenizacja:

<https://www.youtube.com/watch?v=vigP0Rh4MYw>